

WALDEMAR ŁAZUGA
Poznań

ORGANICZNYCY, STAŃCZYCY I SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE W WIELKOPOLSCE

W lutym 1879 r. do organicznikowskiego Poznania przybyli dwa znani profesorowie jagiellońskiej wszechnicy, dwaj czołowi stańczycy, Stanisław Tarnowski i Michał Bobrzyński. Obydwaj wygłosili w Bazarze odczyty gromadzące – donosił „Kurier Poznański” – tłumy oraz kwiat pań „obywatelstwa naszego”¹. Przez cztery dni, od czwartku do niedzieli, wykładali na przemian: koturnowy Tarnowski, przypominający w sposobie wykładu Cycerona, oraz Bobrzyński, władający „wyborną polszczyzną”, nacechowaną większą naturalnością². Ten ostatni mówił o pisarzach wielkopolskich XV i XVI w. oraz o Stanisławie Staszicu, myślicielu z Piły. Tematu w zasadzie nie trzymał się żaden z uczonych mężów. Atmosfera na sali była podniosła, patriotyczna, „solidarnościowa”, ponadzaborowa i dalece różna od tej, jaka panuje zwykle w uniwersyteckich lektoriach. Polak Polaka „mimo stuletni rozdział zawsze zrozumie” – zapewniano się wzajemnie. Staszic niekoniecznie był najważniejszy. Każda z trzech dzielnic – dowodził Bobrzyński – wniosła doniosły wkład w sprawę wspólną: Królestwo, gromadząc zapasy materialne, Galicja, otwierając skarbnicę nauki i umiejętności, Wielkopolsce zaś „przypadła w udziale najpiękniejsza rola połączenia wszystkich stanów w jedno polityczne ogniwo”. To polityczne ogniwo to wspólnota rozbudzonych narodowo i uświadomionych Polaków należących do rozmaitych towarzystw, spółek i prenumerujących gazety, solidaryzm społeczny zrodzony najwcześniej nad Wartą, „wielkopolskie obywatelstwo”, Bazar wreszcie – z jego sklepami, hotelem i salami – będący materialnym wyrazem wszystkich tych narodowych dążeń. Mówił zaś o tym krakowianin i stańczyk o śląsko-wielkopolskich korzeniach. Dopiero bowiem ojciec przyszłego historyka, doktor Błażej Bobrzyński, urodził się w Galicji. Dziad i prawdopodobnie pradziad przyszli na świat w Wielkopolsce. Na sali wśród wspomnianego „kwiatu pań” była zapewne Zofia Cegielska, urodziwa córka nieżyjącego od 10 już lat Hipolita. Po kilku miesiącach oboje młodzi (Bobrzyński dobiegał właśnie trzydziestki, Cegielska była o 10 lat młodsza) spotkali się w Szczawnicy i stanęli

¹ „Kurier Poznański” 29 II 1879 r.

² Dz. Pozn. 1 III 1879 r.

do wspólnej fotografii, która cudem ocalała. Po roku byli już małżeństwem. Ślub kościelny zawarli w poznańskiej farze, a cywilny – według pruskiego prawa – na ratuszu. W ten oto sposób spotkały się dwa wielkie nazwiska symbolizujące dwie różne tradycje i dwa miasta. Córka jednego z największych organiczników wyszła za mąż za jednego z największych stańczyków.

Ciąg dalszy tej poznańsko-krakowskiej historii jest równie frapujący. Trzydzieści lat z okładem mieszkali Bobrzyńscy w Krakowie przy Krupniczej 9. Kilka lat we Lwowie, kilka w Wiedniu. Po I wojnie światowej – ku zaskoczeniu wielu – M. Bobrzyński, najbardziej krakowski ze wszystkich krakowskich polityków, opuścił Kraków i zamieszkał w Wielkopolsce, w majątku Garby niedaleko Środy, wśród „tutejszego obywatelstwa” niezbyt może wyedukowanego politycznie i w poglądach dość jednostronnie endeckiego, ale dobrze zorganizowanego, „cywilizowanego” i szanującego prawo (co zwłaszcza po zamachu majowym Piłsudskiego stwierdzał z ogromnym respektem). Dziś mało kto nad Wisłą pamięta, że do podwawelskiego grodu powrócił M. Bobrzyński dopiero po śmierci. Zmarł w Poznaniu przy ul. Podgórznej w lipcu 1935 r. Kilka lat wcześniej w Garbach zmarła Z. Cegielska. W Łopuchówku wraz z mężem zamieszkała ich ukochana córka, Maryna... W Poznaniu spotykał się Bobrzyński z Bronisławem Dembińskim i Zygmuntem Wojciechowskim, filarami tutejszej profesury. W Poznaniu spotkał się z Romanem Dmowskim (chyba drugi raz w życiu!). Ostatniego stańczyka pożegnał organicznikowski Poznań w kościele św. Marcina przy ulicy o tej samej nazwie. Stawiły się sfery uniwersyteckie, przybyło okoliczne ziemiaństwo i inteligencja miasta. Od kościoła św. Marcina niedaleko do fary, gdzie z Zofią brali ślub i niedaleko do miejsca, gdzie niebawem stanie pomnik jednego z najwybitniejszych obywateli miasta, Hipolita Cegielskiego, ojca Zofii. Ona sama pochowana najpierw w Garbach spoczęła ostatecznie na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Drogi Cegielskich i Bobrzyńskich za życia i po śmierci przecinają się stale...

Podobnych historii krakowsko-poznańskich i stańczykowsko-organicznikowskich mamy kilka. Wiele one mówią zarówno o przeszłości, jak i teraźniejszości obu miast. O stosunku nad Wisłą i Wartą do historii. Do ludzi minionego czasu. O meandrach i kapryсах pamięci historycznej. O legendotwórczych i antylegendotwórczych właściwościach obu tych ośrodków. Oto nazwisko Koźmian większości studentów w Polsce (ze studentami historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza włącznie) kojarzy się ze Stanisławem Koźmianem, „Teką Stańczyka” i „Przeglądem Polskim”, którego pierwszy numer ukazał się 1 VII 1866 r. Niektórzy studenci pamiętają nawet, że Stanisław Koźmian był autorem teorii o „dwóch systematach politycznych” (wyobraźni i rozumu) i najdosadniej chyba ujął myśl o potrzebie „silnego rządu”. Kojarzą go z teatrem, życiem towarzyskim Krakowa, publicystyką wysokich lotów, a także Tarnowskim, Szujskim, Wodzickim i Bobrzyńskim...

Z Janem Koźmianem jest pod tym względem o wiele gorzej. Ten kuzyn ojca wspomnianego Stanisława, jeden z ideologów pracy organicznej i założyciel „Przeglądu Poznańskiego” (starszego od „Przeglądu Polskiego” o 20 lat!) nad Wisłą

i Wartą pozostaje prawie nieznanymi³. I to mimo że zwrot „roboty organiczne” pochodzi właśnie od niego i już tylko z tego powodu na pamięć z pewnością zasłużył. Tymczasem mało kto dziś pamięta, że w pracy *Dwa bałwochwaltwa* podjął on – na długo przed stańczykami – próbę zmierzenia się z rewolucyjnym romantyzmem. Pisał odważnie, porywająco, inteligencją błyszczał. W późnych latach 40. zarzucał krakowianom pasywność i za wzór stawiał Wielkopolan, którzy potrafili wyłonić gremium kierownicze i powołali radę społeczną dla koordynacji wszelkich organicznikowskich wysiłków (co później stało się udziałem Ligi Polskiej, a co zdaniem Jana powinno być udziałem wszystkich Polaków). Do Krakowa poznański Koźmian przyjeżdżał przynajmniej raz w roku. Czy usiłował wpływać na Koźmiana-stańczyka, młodszego od siebie o kilkanaście lat? Nie wiemy. O jednym w każdym razie pamięć jest względnie żywa, gdy o drugim pamiętają już tylko niektórzy zawodowi historycy.

Dorzućmy jeszcze szczegół do tej historii. Żoną J. Koźmiana została córka Dezyderego Chłapowskiego, o którym książkę pełną zachwytów napisał słynący z krytycyzmu... Walerian Kalinka, nieznajdujący zwykle tyłu słów uznania dla swoich kolegów z Krakowa. Na początku – nie tylko Kalince – organicznicy wydawali się być górą. Znali Zachód, nawiązywali do tamtejszych idei, oświecali społeczeństwo, uobywatelniali włościan, modernizowali gospodarkę, byli sumienni i praktyczni. Dziś, w XXI w., gdy budujemy społeczeństwo obywatelskie – wszystko wskazuje na to – górą są stańczycy.

Ważna w tym wszystkim jest metryka. Organicznicy byli starsi od stańczyków o jedno pokolenie. A w dodatku działali w warunkach o wiele trudniejszych. Za przeciwnika mieli o wiele silniejszego zaborcę. I nie mieli uniwersyteckich katedr – tej potężnej trybuny oddziaływania. Poza tym Marcinkowski, Cegielski czy Chłapowski lekcję polityki wyciągnęli z powstania listopadowego, gdy Tarnowski czy Szujski – z powstania styczniowego. A to znaczy, że inne jednym i drugim towarzyszyły doświadczenia, inne aury i emocje. Organicznicy – pożegnawszy się „z pałazem” – wzięli się za „dźwiganie oświaty i przemysłu krajowego”, w czym zawierało się sedno ich *Realpolitik*, słabo zresztą uzasadnianej, natomiast stańczycy najpierw wszczęli debaty nad wielkimi problemami naszej historii, a następnie przeszli do swojej *Realpolitik*, zwanej tutaj inaczej lojalizmem, uzasadnianym z kolei sugestywnie i na wiele sposobów.

Mieliśmy więc dwa lojalizmy i dwie „polityki realne”, ale różnic po obu stronach było znacznie więcej niż podobieństw. Niemieckie seminaria historyczne i europejski konserwatyzm ważne były dla oblicza Krakowa, gdzie kwitła nauka historyczna uprawiana przez profesorów o poglądach konserwatywnych. W mieszczańskim Poznaniu z filozofów długo najważniejszy był Hegel, a z ideologii – europejski demokratyzm, charakterystyczny dla Wielkopolski w dobie Wiosny Ludów (i Ligi Polskiej, która wtedy właśnie powstała). Kraków w dobie autono-

³ Świetną pracę o nim napisał P. Matusik, *Religia i naród. Życie i myśl Jana Koźmiana 1814–1877*, Poznań 1998.

micznej cierpiał nieraz na nadmiar debat. Poznań – przynajmniej od Wiosny Ludów – raczej na ich deficyt (szybko bowiem uznano je za „mało twórcze”). Pod austriackim zaborem Polacy sięgali po najwyższe urzędy i godności w kraju i państwie (resortem skarbu monarchii z krótkimi przerwami kierując przez lat ponad 20!)⁴. Pod pruskim zaborem nic podobnego nie byłoby możliwe. Nie był możliwy ani *casus* Badeniego, który został austriackim premierem, ani Agenora Gołuchowskiego (młodszego), austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych. I jeszcze jedna ważna różnica odciskająca swe piętno do dziś: stańczycy byli stronnictwem „mózgowców” złożonym w zasadzie z samych liderów. Natomiast organiczni, nawet ci najwięksi, robili dużo, żeby – w imię demokratyzmu i równego obywatelstwa – za liderów nie uchodzić (indywiduum miało tu „przeleć się w ogólność”)⁵. Poza tym w Krakowie przywódcami byli ludzie należący do herbowych albo intelektualnych elit. W Wielkopolsce na czele organiczników stał syn karczmarza, Karol Marcinkowski, miłośnik Saint-Simona, człowiek opętany pracą (w epoce „przedpracoholicznej”) i... ideą obywatelskości (w epoce, gdy w Europie najczęściej było poddanych!). Od Marcinkowskiego czy Jackowskiego, twórcy kółek rolniczych, tacy ludzie jak profesor UJ J. Szujski czy hrabia profesor S. Tarnowski, obydwaj ludzie pióra, wydają się oddaleni o lata świetlne.

Nawet zewnętrznie, gdy patrzy się na sprawę z boku, uderzają przede wszystkim różnice. Z czym na przykład w Krakowie porównać poznański Bazar będący symbolem filozofii miasta nad Wartą i wizytówką całej Wielkopolski? Ideowo chyba tylko z Pałacem pod Baranami, tym najbardziej krakowskim ze wszystkich krakowskich pałaców. Chodzi o to, że z jednej strony mamy instytucję, która od początku była demokratyczna, mieszczańska i obywatelska. Z drugiej – arystokratyczną, ekskluzywną i konserwatywną siedzibę. Z jednej strony – miejsce w całym tego słowa znaczeniu publiczne, z drugiej – najbardziej znany adres prywatny w mieście.

Rok 1846 ma z punktu widzenia naszych rozważań chyba nie mniej symboliczną wymowę. W Galicji w tym roku wybucha rabacja. Chłopi atakują dwory; palą, mordują szlachtę i gwałcą. W Poznaniu umiera „przyjaciół ludzkości” (jak go nazwał pewien poeta) K. Marcinkowski – trumnę z jego ciałem niosą na zmianę: szlachta, mieszczenie i włościanie (których – notabene – nikt tu chłopami nie nazywa). Marcinkowski do każdego włościanina spotkanego na swej drodze zwracał się per ty. Tak samo – dla podkreślenia równości w obywatelstwie – zwracał się do wszystkich przedstawicieli szlachty i duchowieństwa. Był – jak o nim napisano – „obywatelem posągowej postaci” i patriotą, który „Polskę kochał w każdym Polaku”⁶.

Z Kasynem Obywatelskim (założonym w Gostyniu już w 1835 r.) jest dokładnie tak, jak z poznańskim Koźmianem. W pamięci historycznej rodaków Kasyno

⁴ Zwrócił na to uwagę ambasador Republiki Austrii, dr Alfred Laengle, podczas konferencji w Krakowie 14 I 2008 r. Zob.: *U źródeł krakowskiego konserwatyzmu – w 100-lecie śmierci Juliana Dunajewskiego*, red. W. Kolarski i K. Gruener, Kraków 2008.

⁵ Najlepiej te „zmagania ze sobą” opisał W. Molić, *Kult Karola Marcinkowskiego*, Poznań 1996.

⁶ H. Rzepecka, *Kim był Karol Marcinkowski*, Lwów 1913, s. 110.

przegrywa z rabacją. Jedna z najśmielszych inicjatyw społecznych przegrywa z ponurymi zajściami. Dzieje się tak od lat. O Szeli, postaci marnej, wspomina każdy podręcznik. O założycielach Kasyna Obywatelskiego, propagującego równość wszystkich stanów na długo przed rabacją, nie ma nawet wzmianki...

„Kto rządzi Księstwem, mówmy bez przekąsów: doktor, kobieta i para wąsów”. Doktor – to Marcinkowski, wąsy – to Maciej Mielżyński, a kobieta – to Emilia Sczaniecka.

E. Sczaniecką, gdy umierała, mógł – zgodnie z jej wolą – pożegnać osobiście każdy rodak bez względu na stan społeczny. Tę przedstawicielkę starego rodu ziemiańskiego – K. Marcinkowskiego „w spódnicy” – nazywano polską Florence Nightingale⁷. W Wielkopolsce za sprawą organiczników powodów do rabacji nie było.

Stańczycy skupieni na wielkiej polityce i sporach historycznych problemami społecznymi zajmowali się mało. Organicznicy odwrotnie – zajmowali się nimi przede wszystkim.

O klasie intelektualnej stańczyków – także ostatnio – powiedziano już bardzo dużo. O wyrobieniu społecznym i gospodarczym organiczników mówią i piszą od lat historycy poznańscy; profesorowie Trzeciakowski i Molik stale podkreślają, że mówiąc o organicznikach (i ewentualnie preorganicznikach), mówimy o ludziach otwartych na świat i nastawionych na modernizację społeczeństwa. Chłapowski „po nauki” jeździł do Anglii i Szkocji, Cieszkowski, tworząc Ligę Polską, wzorował się na Cobdenie (i jego Lidze przeciw Ustawom Zbożowym), Jackowski interesował się towarzystwami rolnymi w Westfalii, a spółdzielczość kredytową w Wielkopolsce opierano na dokładnie przestudiowanych zasadach organizacji spółek Hermana Schultzego z Delitsch⁸. Poza tym pilnie obserwowano Czechów, o których sukcesach gospodarczych i oświatowych (a także na polu walki z Niemcami) pisała cała poznańska organicznikowska prasa. Ideał nowoczesnego Polaka rysował się nad Wartą jasno. Polak jest katolikiem. Człowiekiem solidarnym z innymi Polakami. Żyje przykładowo. Jest uczciwy i wytrwały w pracy. Pielęguje mowę ojczystą i obyczaje. Abonuje polską gazetę. Należy do jakiegoś polskiego stowarzyszenia. Wspiera szczytne narodowe cele i głósuje na polskiego kandydata w wyborach do sejmu pruskiego lub parlamentu Rzeszy. Dodajmy, że pod koniec XIX w. polską gazetę czytano niemal w każdej polskiej rodzinie...

Na początku XX w. – w związku ze strajkiem szkolnym we Wrześni – Galicja przeżyła krótką fascynację Wielkopolską i jej ludem, którego „kultura płynie rozleglejszym łożem”. W dzieciach wrześnińskich dojrzało nowe pokolenie „filomatów i filaretów” i wyrażano nadzieję, że młodzież galicyjska w podobnych okolicznościach pójdzie w ich ślady⁹. Strajk wybuchł w maju 1901 r. Dwa miesiące

⁷ M. Rezler, *Emilia Sczaniecka 1804–1896*, Poznań 1996.

⁸ W. Molik, *Dziedzictwo kulturowe szansą Wielkopolski w zjednoczonej Europie*, w: *Wielkopolska wobec wyzwań XXI wieku*, red. W. Molik, A. Sakson, T. Strykiewicz, Poznań 2004.

⁹ W. Łazuga, *Galicja i Austro-Węgry wobec strajku dzieci wrześnińskich*, w: *idem, Rzeczy mniejsze i większe*, Poznań 2002, s. 139–159.

wcześniej w Krakowie wystawiono *Wesele*, wzbudzające nie tylko artystyczne emocje. Nad Wisłą w całym majestacie geniuszu objawił się „król ducha”, Stanisław Wyspiański, dołączający już za życia do grona wieszczów. Nad Wartą – w tym samym czasie – robotami organicznymi kierował „król czynu”, urodzony w Wyrzece pod Śremem, syn włościanina, ksiądz Piotr Wawrzyniak.

Stefanowi Bratkowskiemu należałoby w Poznaniu wystawić pomnik. Dopóki bowiem nie „uromantycznił” on trudu Wielkopolan, nazywając ich wysiłki „najdłuższą wojną nowożytną Europy”, tutejsza historia nawet niektórym Wielkopolanom wydawała się mało heroiczna, mało fabularna, pozbawiona żywszej intrygi i z wielu powodów „nieistotna”. O zwykłej, codziennej pracy mówić i pisać trudno. Wspomniany kilkakrotnie Maksymilian Jackowski zjeżdżał Wielkopolskę wzdłuż i wszerz. I wszędzie zakładał kółka rolnicze, uczestniczył w zebraniach powiatowych, otwierał wystawy rolne i inaugurował walne zebrania. Odwiedzał Inowrocław, Śrem, Dolsk, Żnin, Pleszew, Ostrów, Wągrowiec, Trzemeszno, Wrześnię, Kostrzyn... Jednakowo wiosną, jesienią, latem i zimą. Jego skrupulatnie prowadzone itinerarium to spis miast i miasteczek całej Wielkopolski – ze wschodu na zachód i z północy na południe. To także świadectwo tytanicznej pracy i zapobiegliwości tego – jak go nazywano – „króla włościan” (choć on sam wołał siebie nazywać ich patronem lub ojcem). Jackowski chlubił się tym, że w Wielkopolsce działa ponad 260 kółek rolniczych skupiających ponad 12 tys. ludności wiejskiej i że przynajmniej raz w roku – podczas walnego zebrania delegatów kółek – przyjeżdżają do Wielkopolski goście ze Lwowa, z Krakowa i Warszawy, by – jak pisał z dumą – „obserwować ten nadzwyczajny objaw”¹⁰. Jackowski był dumny z cyfr, które miały przemawiać za nim. O żadną osobistą legendę nie zabiegał.

Książkę poświęconą Piotrowi Wawrzyniakowi ogłosił w 2000 r. autor wielu opasłych opracowań, zmarły niedawno prof. Czesław Łuczak. Książka liczy niewiele ponad 100 stron¹¹. Pisać właściwie nie było o czym. Ksiądz Piotr odznaczał się mrówczą pracowitością. Wstawał wcześniej rano, późno chodził spać. Żadnych dramatów ani skandali w życiu nie przechodził. Mówił mało i do rzeczy. Był prezesem organizacji społecznych, patronem spółek zarobkowych i gospodarczych, dyrektorem banku ludowego, dyrektorem drukarni św. Wojciecha, prezesem kółek rolniczych i towarzystw przemysłowych – w sumie szefem 22 organizacji! Poza tym wykładowcą „wykładów publicznych” w Śremie, Poznaniu i kilku innych miastach Wielkopolski. Prof. Łuczak skrupulatnie zestawiał tematy jego wystąpień. Oto – tytułem przykładu – kilka z nich: *Stosunki pomiędzy robotnikami, rzemieślnikami a chlebobawcami*, *Nowe prawo cechowe*, *Kolej żelazna w Śremie*, *Falszowanie artykułów żywnościowych*, *O potrzebie stałych cen i punktualności*, *Zabezpieczenia robotników na kalectwo i starość*, *Kredyt jako podstawa przemysłu*.

Co w tych tematach uderza? Użyteczność, użyteczność i jeszcze raz użyteczność poruszanych spraw. Proza życia. Jego prelekcje to całkiem inny świat niż aka-

¹⁰ J. Karwat, *Maksymilian Jackowski 1815–1905*, Poznań 2005.

¹¹ Cz. Łuczak, *Ks. Piotr Wawrzyniak (1849–1910)*, Poznań 2000.

demickie wykłady Bobrzyńskiego czy Tarnowskiego, o których bez problemu można by było pisać tomy! Jednocześnie ks. Piotr bardzo bolał, że Wielkopolska jest „słabą i nieudolną w dziedzinie sztuk pięknych i literatury”. Rangę i skutki tego deficytu mądry ksiądz dobrze rozumiał. Sam żadnych talentów literackich nie posiadał.

Gdyby ks. Wawrzyniak – geniusz organizacji pracy i „polski minister finansów” (jak go nazwali Niemcy) – urodził się na przykład w Anglii, byłby może bohaterem mieszczańskich, jeśli już nie ludowych, legend. Byłby przykładem do naśladowania, przykładem kariery człowieka „z nizin”, a sutanna i posługa prałata dodałyby mu może tylko kolorów. U nas w konfrontacji ze stańczykami przegrywa z kretesem...

Przegrywają zresztą wszyscy: Marcinkowski, Cegielski, Jackowski i Wawrzyniak. Sprawdźmy jeszcze na koniec ich zawody. Mamy więc lekarza, przedsiębiorcę (z wykształceniem filologicznym), ziemianina i księdza prałata – przedstawicieli wszystkich stanów, ludzi, którzy – pierwsi w kraju – zbudowali nad Wartą społeczeństwo obywatelskie. To dzięki nim w Wielkopolsce narodziła się i zwyciężyła idea solidarności. To dzięki nim (i niej!) udało się przetrwać.

„Życie po życiu” organiczników wcale nie należy do łatwych. Z jednej strony w Wielkopolsce wszyscy są „z nich”, a dla pracy organicznej nadal nie ma żadnej ideowej alternatywy. Z drugiej – z tego samego powodu – zawsze najpierw mowa jest o jakimś „bohaterze zbiorowym”, a rzadko kiedy o indywidualnej zasłudze. I obojętne, czy chodzi o powstanie wielkopolskie, czy o okupację, czy o czerwiec 1956 r., czy sierpień 1980 r., czy wreszcie stan wojenny dostarczający innym miastom i regionom całe panteony nowych bohaterów. W rezultacie organicznicy przegrywają dziś w pamięci historycznej (i kulturze nastawionej na indywidualny sukces) niemal ze wszystkimi, choć czasy mamy takie, że wolne społeczeństwo powinno twórcom społeczeństwa obywatelskiego sprzyjać. Czy jednak dziś mogą się oni obejść bez pośmiertnej promocji ze strony współczesnych historyków lub speców od polityki historycznej? I czy komukolwiek jeszcze organicznicy ze swą „niechęcią do wystawy” i wybujałego indywidualizmu, programowo „antycharyzmatyczni” i solidarni są dzisiaj potrzebni?

Wierzę, że przyszłość okaże się dla nich łaskawa.

Wierzę w pogodę dla organiczników.